

Z mojej loży

Jak wystawić „Dziady” (do wiatru)?

Ano tak:

Zacząć od Części IV, na pustej scenie Ksiądz zapala trzy świece, przyklepione do podłogi, a wtem zza białej zasłony wyłania się postać w dżinsach. To Gustaw, zawiedziony kochanek, który zaczyna gawędzić z Księdzem, ale że obaj mają kiepską dykcję, słowa mało do kogo docierają. Świece zresztą pogasili szybko, sławne „trzy godziny” skróciły się do niewielu minut.

Rozsuwa się tiulowa kurtyna, jaskrawe światło pada na wielki stół, ustawiony w podkowę, suto zastawiony atrapami butelek i półmisek. W głębi mocno oświetlony emblemat: kapiący od złota orzeł dwugłowy hołubi na swej piersi orła białego. Z czasem krąg z tym orłem zdejmą żołnierze w szynelach, wieszając na jego miejsce Chrystusa, rozpiętego w kole udreki. Potem i ten symbol zdejmą, ogałając pierś dwugłowego, na którego pada blask czerwieni, jakby ptak broczył krwią. Ten motyw dekoracyjny gra efektownie, logicznie i emocjonalnie.

Ludzie, posadzeni przy stole, robią wiele szumu, pokrzykują, kłócą się, zgrywają, miotają w pijanym widzie – przypominają gości madame Renesans na ślubie jej córki w „Pluskwie” Majakowskiego. Nieokrzesani, wulgarni, pośrodku nich półdiabelski Mistrz Ceremonii. Wszyscy wrzeszczą, że kochają cara i senatora, ale cóż się dzieje, żandarmi złapali Gustawa, nokautują go, kolbami tłuką, biesiadnicy speszeni. Coś się w nich przełamuje, chwila ciszy, i oto Mistrz Ceremoniału wchodzi w rolę – Guślarza, podchmielone towarzystwo ogarnia histeria i coraz to któryś i któraś wcielają się w postaci Części II, litewskiego obrzędu dziadów. Jenerał jest Widmem, Księżna Sową i Motylkiem, Damy Ptakami, Literat Krukiem, a drugi Literat, przeciwnie, Józkiem. Uporawszy się w ten sposób z „Dziadami” kowieńsko-wileńskimi, możemy już swobodnie przejść do „Dziadów” drezdeńskich.

Co się tymczasem dzieje z Gustawem? Znajdują go, leżącego bez czucia, sprzątaczkę warszawską, które robią porządek po gościach Salonu. Rozbierają biedaka, cucą, pakują do balii z wodą, po czym nagi Gustaw powstaje, z pełnego dzbana leje sobie na głowę prawdziwą wodę i wszem wobec oznajmia, że umarł Gustaw, narodził się Konrad.

Konrad w więzieniu. Pośrodku rzędem stojących kolegów aresztantów, z których to jeden to drugi, nie ruszając się z miejsca, melorecytuje i próbuje śpiewać. Wreszcie odchodzą. Konrad cofa się w głąb sceny, zajętej przez dwa stoły i z oddali improwizuje, ale tak, żeby go mało było słycać, choć pojedyncze wersy gromko wykrzykuje, zdenerwowany. Jeden ze stołów wywraca w czasie tej recytacji, na drugi sam pada, wykrzyknąwszy bez pośrednictwa sławne „carem!” Wchodzi Ksiądz – ten żonaty, ze sceny pierwszej (ale bez dzieci) i egzorcyzuje. Modny temat, nie dziw, że wyeksponowany.

Kolej na sceny z Senatoren. Odziany czarno, w białej peruce, Senator jest wcieleniem zła. Ale nierealistycznym, jak z męczącego snu (sam nic nie śni). I on, i jego zauszniczy poruszają się w tył i naprzód, naprzód i w tył, jak kukły, a Senator brutalny, chamski, ani śladu w nim lisiej układności, wyrafinowanej obłudy, poloru francuszczyzny. Nieustannie w ruchu, jak na sprężynach, a przy nim w podrygach i lansadach biegają jego dworacy. Ten bieg powtarza się tak wiele razy, że widza ogarnia popłoch. Niepotrzebnie. Bo oto wyzwala nas epizod z proszącą o łaskę dla syna panią Rollison i rozmowę z Księdzem, który powiada Senatorowi swoje dwie opowieści.

Nastaje Bal, wszyscy goście występują w sutych maskaronach na głowach, to jest nawet efektowne, aż mi żal, że Mickiewicz chciał wprowadzić „sceny śpiewanej”, ale w realnym Wilnie, i z realnym gromem, zabijającym bardzo rzeczywistego Doktora.

Ksiądz mija Konrad, wiedziony na Sybir, potem Ksiądz nieruchomieje – ludzie Senatora już się wraz ze swoim szefem ulotnili – i wygłasza swoje Widzenie. Ono zamyka i wieńczy widowisko, bo przecież Mickiewicz mistykiem był.

Taki to spektakl zaprezentował nam Henryk Baranowski w Teatrze im. Jaracza w Olsztynie. Gdybym nie widział innych przedstawień tego teatru, byłbym przerażony. Reżyser miał pomysły, więc hulaj dusza bez kontusza. Nic go nie obeszło, że litewskie zauroczenie narzucił warszawskim salonowcom, przy okazji gubiąc potężny realizm romantyczny na rzecz kukieł i straszdeł. Aktorzy mu nie pomogli. Grali przeważnie bardzo słabo. Zwróciłem uwagę na Barbarę Baryżewską, ruchliwą jak fryga, w rolach Literata, Józka i Bajkowa. Sądzę, że Roman Michalski mógłby też nie być nieporozumieniem w roli Senatora.

Reżyser miewa pomysły i teatry mają prawo do wielkiej klasyki. Czy wolno zatem teatrom porywać się na „Dziady”, nawet jeśli zespołowi brak dostatecznych sił, a pomysły reżysera kolidują z sensem dzieła Mickiewicza? Sami osądźcie, Czytelnicy.

JASZCZ